

BOGDAN PYRZ

ur. 1932; Piaski



Miejsce i czas wydarzeń	Zamość, PRL
Słowa kluczowe	Zamość, PRL, praca, Zakłady Mięsne w Zamościu

Funkcjonowanie Zakładów Mięsnych w Zamościu

Według mnie początkowo w zakładzie to była może setka [pracowników] w ogóle, a jak odchodziłem to około tysiąca. Cały teren tej [galerii handlowej] Twierdza z tym sławetnym kominem, który tu stoi, to wszystko były zakłady mięsne. A komin też ma swoją historię. W zakładach mięsnych został mój kolega, który był [dyrektorem] do spraw technicznych, a potem nawet naczelnym. Uchodził za inżyniera, tylko nie miał dyplomu. Był chłodnikiem z wykształcenia. Miał zdaje się świadectwo ukończenia studiów, ale dyplomu nie chciało mu się zrobić. Poszedł do pracy, tak mu dobrze było, zakochał się i już nie wrócił na uczelnię.

Wtedy nie budowało się już kominów cementowych, ale z kolei kilka blaszanych kominów w Zamościu się zawaliło. One mają to do siebie, że ten żwir, który wychodzi ze spalin wyciera tę blachę w środku tak, że z kilku milimetrów to robi się taka cieniutka warstewka, że kominy się łamią przy podmuchu. Trzeba tego pilnować i trzeba je sprawdzać. Mówię do tego kolegi: „Kaziu, czegoś ty budujesz teraz takiego cemenciaka” A on mówi, że to, dlatego, żeby jego [syn] Mirek nie musiał się martwić, że mu się komin zawali. Chciał to swoje miejsce w zakładzie, taką schedę zostawić synowi, który akurat kończył politechnikę. I tak się stało, że ten komin nigdy nie zadymił, bo w międzyczasie Zakłady Mięsne padły. On umarł, Mirek umarł, a komin stoi nieużywany. Wykupiła go jakaś kobieta i wykorzystuje, [jako maszt] dla stacji telewizyjnych i chyba komórkowych. I podobno nieźle na tym zarabia. Z tego wszystkiego ma tylko taki wycinek placu wykupiony, kawałek ziemi z tym kominem i podobno ma spory dochód z tego. A komin, dziewiczy. Dym z niego nigdy nie poszedł. Od przed wojny tu była ubojnia i masarnia, ale raczej typu takiego dobrego rzemieślnika, masarza, a nie zakładu przemysłowego. Tym zakładem przemysłowym zaczęła się robić przy rozbudowie, kiedy przyszła chłodnia z prawdziwego zdarzenia, porządnie zaprojektowana z basenami chłodniczymi na zewnątrz. Przyszły potem nowa kotłownia, konserwiarnia i cała hala uboju.

Taka znów ciekawostka, jak to się robiło i projektowało. Stara ubojnia była to taki

budynek podłużny i dość długi, taka hala, gdzie te zwierzaki wchodziły, zanim się je zabiło, potem opatrzyło, wnętrzności rozebrało, podzieliło na te tak zwane półtusze i przekazało do magazynu. Do tego dobudowano tę nową część, gdzie były rozbiory, potem hala chłodnicza, na dole maszynownia chłodnicza i te wszystkie urządzenia chłodnicze. I oczywiście cała baza transportowa. I znów następna zagadka. Wszystko się ładnie buduje, stary zakład tej ubojni, który styka się ze ścianą nowego budynku już dwupiętrowego ma mieć z nim technologiczne połączenie. Bo te półtusze mają zawieszane wjeżdżać taką kolejkę podwieszoną do tamtej hali. Jest chyba ze dwa, czy trzy miesiące do oddania tego budynku, a ja się zapytałem, czy ktoś się zastanowił, jakie poziomy są między starą halą a nową? Nikt nie wie. Pytają projektantów, jak projektowali? A oni wyszli z poziomu torów kolejowych. Bo tory kolejowe muszą mieć jakąś normę, wymaganą wysokość do rampy. To jak rampa ma tę wymaganą wysokość i tu parter się zaczyna, to pierwsze i drugie piętro jest zgodnie z normą. Ale nikt nie sprawdził, jak się to ma do poziomu tamtej hali. W ostatniej chwili rozbijamy otwór, ściana lita, bo to przecież osobny budynek, trzeba się przebić. A co będzie, jak tam ta posadzka będzie pod sufitem? Bo może tak być. Okazało się, że była. Te posadzki się nie zgadzały. I trzeba było w abcugach i już bez biura projektów zrobić podnośniki w tej luce, żeby złapać poziom. To była makabra, to były takie rzeczy, że się w głowie nie mieści. Pośpiech, brak koordynacji wynikające z nieprzygotowania ludzi, którzy kierowali niektórymi sprawami.

To dobrze, że nam się udawało, ale to nie powinno tak być, każdy bardziej [red. fachowy] człowiek musi przewidywać takie rzeczy. Już nie mówiąc o kolejnej sytuacji. Przerabiali halę ubojni, bo stare lampy już nie odpowiadały normom, a przede wszystkim hala była niewentylowana, trzeba było wentylatory ustawić. Więc trzeba było w stropach powybijać otwory na wentylatory. Ale na dole już zawiesili potężne hermetyczne lampy, olbrzymie, zakręcane na uszczelkę. Elektrycy pozawieszali lampy, już prawie zrobili próbę światła, a tu przyjeżdża ekipa od wentylatorów. Zaczynają kuć jeden otwór –leci lampa! Bo w tym miejscu, co lampa, to oni zaprojektowali otwory na wentylatory. Tak były niezgrane biura. Jedno biuro robiło elektrykę, drugie, robiło wentylację, różne były te podziały.

I to wszystko działo się na moich oczach. I przez to wszystko trzeba było przebrnąć. A jeszcze do tego wódka. Ta wódka była nie tylko u robotników na dole. Ona także była wśród kierownictwa. Przyjeżdża do mnie jakaś kontrola BHP, czy inspektor pracy. No i mój technik inwestycyjny taki przedwojenny, starej daty trochę pan, szykuje się. On zna już tych swoich kontrolerów, a ja pierwszy raz mam ich przyjmować. I on tak chodzi, chodzi i mówi, że trzeba by ich jakoś przyjąć. Ja byłem harcerzem, sportowcem to z tą wódką było u mnie kiepsko. Na Świdniku się wódki nie piło, a i na tych spotkaniach towarzyskich poza pracą też nie piliśmy. Może trochę wina, ale nie wódki, w wódce żeśmy nie gustowali.

Wtedy nie było sklepów wszędzie, jak teraz, tylko wszystko było na starówce. Miałem motocykl, mówię, że pojedę i kupię pół litra. On na to, że pół litra to za mało, trzeba

by liter, a jak nie wypijemy, to przecież zostanie na zimę. Piło i kierownictwo, i przełożeni. Wódka była przy każdej okazji. Wódkę się piło państwowo, że tak powiem. Taki był obyczaj. Trzeba było przy każdej uroczystości, czy to było 1-szy Maja, czy tam 22-go Lipca, czy inna jakaś okazja, to się piło. Była taka inwestycja, jak to się mówiło, w teczce premiera Cyrankiewicza. Szły potężne ilości szynki na eksport do Stanów Zjednoczonych. Przecież wszystkie te słynne szynki były produkowane w Zakładach Mięsnych w Zamościu, największy eksport stąd szedł. Zresztą nie tylko Stany Zjednoczone, bo dla Bundeswehry szły świetnej, jakości konserwy. Jak przyjechali przedstawiciele Bundeswehry do nas, do zakładu podpisać kolejną umowę, chociaż to i tak centralny zarząd robił, a myśmy może tylko coś parafowaliśmy, to ciągle pytali, jak nasze zarobki, na jakim procencie jesteśmy. Mówiliśmy, że nie jesteśmy na procencie, tylko na pensjach. Na jakich pensjach? Oni nie rozumieli, że my jakieś zwykłe pensje mamy, a nie procent od dochodu zakładu. Na koniec nam dali swoje wizytówki, żebyśmy ich odwiedzili w RFN-ie. Powiedzieliśmy: „Tak, przyjedziemy” I tyle. Takie to były czasy. Taka, to była taka dziwna sytuacja.

Dyrektor na zakładzie był w zasadzie takim przedstawicielem rządu. I partii. Ale obojętnie, czy on był partyjny, czy nie, to był zawsze przedstawicielem. Partia hołubiła klasę robotniczą, ale broń boże, jak dyrektor był uznawany przez klasę robotniczą. Dyrektor musiał być skonfliktowany z klasą robotniczą. Dyrektor, którego na przykład chciano usunąć z zakładu i wstawiła się za nim załoga, to dostawał wilczy bilet, już było po nim, on już w innym zakładzie nie mógł być dyrektorem. To była dziwna, jakby podwójna działalność. Z jednej strony, jeżeli było jakieś nieszczęście, to nie załoga, była winna, tylko winien był dyrektor. Za strajk był także winien dyrektor. Nie klasa robotnicza, tylko dyrektor.

Dlaczego mógł być strajk? Dyrektor nie umie z załogą żyć. Ale jak ten dyrektor jest dobry dla załogi, to też jest źle, bo coś kombinują i już jest niebezpieczny. Takie to były czasy. Ja tam przeżyłem chyba czterech dyrektorów. Ten pierwszy naraził się właśnie na takiej naradzie produkcyjnej z udziałem ministra. Mieliśmy potem wspólny obiad, bo to się zawsze tym kończyło, a na zakładzie wyżera była zawsze dobra. Zresztą mieliśmy kucharki specjalnie tylko po to, żeby gotowały, czy przyrządzały różne smakołyki. I już mamy iść na obiad, minister przemysłu spożywczego, nie chcę używać nazwisk, myje ręce, szykuje się na obiad. Ten dyrektor to było takie chłopisko duże, a minister był nieduży, niższego wzrostu, niż ja. Dyrektor tak pochylił się do niego i mówi: „Towarzyszu ministrze, a ja to w te harmonogramy wszystkie cośmy tu spisali, nie wierzę” Tak mu powiedział po tej całej naradzie cośmy pół dnia siedzieli. Jak ten minister się wkurzył, mówi do dyrektora: „To ja tu przyjeżdżam, denerwuje się, męczę się, spisuję, ustalamy terminy, a pan mi mówi, że pan nie wierzy w te ustalone terminy. To pana czynię odpowiedzialnym za te terminy” Obiadu nie jadł, siadł w samochód i z całą tą swoją czeredą pojechał. A dyrektora zdjęli. Zdjęli go. Kolejny tylko na dwa lata przyszedł i też poszedł. Tak, że to różnie tam bywało, różne

tam działały się sprawy.

Data i miejsce nagrania	2018-11-28, Zamość
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"